I-15325/1

CENA NUMERU 15 Mk.

№ 1 (353) WARSZAWA, DNIA 3 LIPCA 1921 Rok VII

ŻYCIE WARSZAWSKIE

Adres Redakcji i Admistracji: MARSZAŁKOWSKA 123|15 (TELEFON № 168-34)

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNO-LITERACKI
ORGAN BEZPARTYJNY

Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i piątki od 5—8 wiecz.
Cena ogłoszeń za wiersz nonparel. 40 mk. 1 szpalt.

OD REDAKCJI

WZNAWIAMY WYDAWNICTWO „ŻYCIA WARSZAWSKIEGO".

Powstało ono w 1908 r., w czasach najczarniejszej reakcji i ucisku polityczno-społecznego, kiedy wszelki śmielszy głos zajadle był tłumiony, myśl szczera i uczciwa gnębiona i prześladowana, kiedy argusowe ślepia ochrany, biurokracji i burżuazji bacznie śledziły za każdym przejawem ruchu wyzwoleńczego.

To też „ŻYCIE WARSZAWSKIE" stojące pomimo wszystko nieugięcie na straży obrony klasy pracującej fizycznie i umysłowo, ściągało na siebie gniew i nienawiść zarówno rządu carskiego jak i rodzimego wstecznictwa, niegardzącego żadnym środkiem, nie wyłączając denuncjacji, w zwalczaniu pisma i ludzi koło niego grupujących się (jak to było np. przy akcji przekształcenia kooperatywy „Merkury" z mieszczańskiej na proletarjacką, kiedy p. Stanisław Wojciechowski wręczył na zebraniu w Muzeum komisarzowi policji listę „socjalistów" — oczywiście w imię „neutralności" kooperacji!).

Szereg rewizji, aresztowań, kar i procesów uwieńczony został zamknięciem „ŻYCIA WARSZAWSKIEGO" z chwilą wybuchu rzezi światowej w 1914 r.

Za czasów strasznej okupacji niemieckiej zrobioną była we wrześniu 1915 r. próba wznowienia „ŻYCIA WARSZAWSKIEGO" pod nazwą „Nasza Trybuna", lecz numer wyszedł tak przez cenzurę skastrowany, iż trzeba było z dalszego wydawania zrezygnować.

Cenzor rodak Goździewicz więcej był nawet gorliwy i służalczy, niż stupajki Timofiejewy i Jankulje.

Obecnie więc będzie trzecia faza „ŻYCIA WARSZAWSKIEGO".

Warunki ogólne jakże formalnie i dekoracyjnie są odmienne i grunt, zdawałoby się, różny od poprzednich!

A jednak w rzeczywistości, w istocie rzeczy, nie z pozorów i iluzji sądząc, jakże niewiele się zmieniło!

Najszersze masy jak były tak są upośledzone, burżuazja i obszarnicy jak panowała tak panuje, proletarjat jak w znoju i udręce wytwarzał wszystkie dobra i wartości, sam zadawalniając się ochłapami, tak czyni to nadal, kapitał a praca walczą jak poprzednio, jeno ostrzej i bezwzględniej, krzywda, wyzysk, ucisk krzewią się bujnie, jak za „dawnych dobrych czasów"!

Pragnieniem więc naszem gorącem jest, aby „ŻYCIE WARSZAWSKIE" skupiło dokoła siebie znowu, jak dawniej, tych wszystkich, którzy odczuwają potrzebę wypowiadania się nieskrępowanego żadnemi względami, bądź partyjnemi, bądź osobistemi, piętnowania krzywdzicieli, ciemiężców, stawiania pod pręgierz szkodników społecznych, którzy pod maską górnolotnych frazesów i haseł wzniosłych ukrywają dążności szpetne, postępki brudne i cele wrogie interesom ogółu.

V-15395

KONSTYTUCJA A PROLETARJAT

Uchwalona 17 marca r. b. Konstytucja została wreszcie w czerwcu opublikowaną „drogą urzędową".

Już ten brak pośpiechu, to zwlekanie dwumiesięczne, w każdym obywatelu, objektywnie i trzeźwo oceniającym zjawiska, nasuwa refleksje, że treść konstytucji (nieodpowiadająca ani duchowi czasu ani aspiracjom klasy pracującej), zbytnio krępować ani burżuazji ani rządu — nie będzie.

Uświadomiony proletarjat i intuicyjnie zdaje sobie sprawę, że pod płaszczykiem i osłoną konstytucji 17 marca w dalszym ciągu hulać sobie będzie reakcja, uprawiane będą nadal nadużycia, wchodzące w kolizję z samą ustawą prawodawczą, a już rzeczą różnych „komentatorów prawa" będzie w paragrafach Konstytucji doszukiwać się usprawiedliwienia bezprawi, sankcjonowania gwałtów i nadużyć.

Lecz nietylko intuicyjna znajomość duszy strupieszałej biurokracji sprawia, że lud zarówno akt uchwalenia przez sejm w dniu 17 marca Konstytucji, jak i moment jej opublikowania przyjął z chłodną obojętnością i apatją.

Ta apatja i powszechna obojętność, towarzysząca narodzinom Konstytucji naszej, sprawi, że po suchotniczej wegetacji, zejdzie ona do niesławnej pamięci nieboszczyków bez akompanjamentu burzy rewolucyjnej, a rozkładu jej ciała i ducha wskutek różnych sprzeczności zawartych w jej łonie przyśpieszą czynniki administracyjne, przejęte atmosferą biurokracji dawnych mocarstw zaborczych i nawykłe do samowoli.

Ciekawym jest wszakże pytanie i niezbędną odpowiedź, skąd czerpie swój rodowód ta bierność, ta apatja, gdzie leży źródło tego braku zapału, wprost zainteresowania się Konstytucją, która wszak w mniemaniu obozu nietylko endecji stanowić ma „kamień węgielny Polski ładu, pracy i porządku, no i naturalnie Polski demokratycznej".

Dla rozwiązania tego zagadnienia rzucić należy okiem wstecz, do chwili zwołania sejmu, i uprzytomnić sobie pewne etapy jego działalności.

Otóż sejm ten miał zadanie i obowiązek w ciągu najdalej trzech miesięcy opracować konstycję i ustąpić zaraz miejsca swemu prawowitemu następcy.

Tak przynajmniej na wszystkich zgromadzeniach przedwyborczych wmawiano w wyborców, tak zapewniano proletarjat miast i wsi, o tem uroczyście zapowiadano nawet u endeków wszelakich rozgałęzień, nazw i odcieni.

Rychło jednak świat pracy przekonał się, że raz jeszcze padł ofiarą oszustów politycznych, którzy bez wyjątku na terenie sejmu podali sobie ręce w milczącej umowie, aby możliwie odwlec opracowanie Konstytucji w celu uzurpowania sobie funkcji, do których nie byli zgoła powołani w szczególności zaś w celu szafowania stanami wyjątkowemi i ich konsekwencjami.

Świat pracy widział, że najmniejsze „reformy" społeczne zaciekle zwalczane były przez koalicję paskującego chłopstwa z paskarzami miejskiemi, błogosławionymi przez Lutosławskich i Teodorowiczów, a ośmielanych i rozzuchwalanych coraz więcej przez ustępliwość pepesowców, całą energję wyładowujących w sejmie i poza sejmem na walkę z „bolszewikami", komunistami, no i coraz potężniejącą opozycją we własnym ognisku.

Świat pracy widział, że t. zw. „reforma rolna" głodu ziemi u bezrolnych i małorolnych nie zaspokoi, ale nawet i jej wykonanie jest fikcją i mydleniem — mówiąc wulgarnie — oczu.

Świat pracy w ciągu całego niemal trzyletniego istnienia sejmu przekonywał się na każdym kroku, że „suwerenne ciało" w swej całości od prawicy do lewicy i od lewicy do prawicy sypie ludowi piasek w oczy, a wbija sztylet w pierś tych z jego szeregów, którzy są najbardziej bezbronni i bezradni

Dość wspomnieć o nieludzkiem, hańbiącem sejm ukamienowaniu nieślubnej matki, wyrzuconej po za nawias kas chorych.

Nieufności stąd płynącej do konstytucji, opracowywanej przez sejm w takich warunkach i stosunkach, odpowiada jej treść.

Senat, owa kuźnia represji dla ludu; nieuwzględnienie prawnego usankcjonowania izby pracy; odrzucenie rad delegatów robotniczych; wyznaniowość w szkolnictwie; przywileje religii rzymsko-katolickiej, — oto, co sejm spłodził, nadomiar opatrując to wszystko klauzulą, że stać na straży będzie jeszcze rok cały!

Oto powody, dla których klasa robocza, nawet ten jej odłam, który pod batutą P. P. S. szedł przed 3 laty do urn wyborczych, spotkał dziś konstytucję 17 marca nieufnie, obojętnie i apatycznie.

Co więcej, proletarjat uświadomiony uważa ją za okopy świetej Trójcy ustroju wyzysku i niewoli, — okopy, którym rzuca groźne prorocze: mane-tekel-fares.



Życie i pociąg. Nie lubię jeździć trzecią klasą: pełno tam wyrobników, wychodźców, chłopów i innych ludzi niechlujnych, tępych i nieokrzesanych.

Wszelako, gdy pomyślę sobie o podróżnych z klasy drugiej i pierwszej.

Tak jest! biorę bilet do trzeciej.

(Sofici, Ironja i Życie).

LOS URZĘDNIKÓW.

I.

Powszechnie znaną jest rzeczą, że proletarjat biurowy należy u nas do najbardziej wyzyskiwanych pracowników.

Należy obecnie, gdyż w czasach przedwojennych robotnik naogół wynagradzany bywał gorzej od t. zw. inteligenta, który skutkiem tego nawet często, zazwyczaj spoglądał nań „z góry", traktował go lekceważąco i protekcjonalnie.

Dziś czasy się zmieniły, dziś z nieukrywaną zazdrością, z tępą zawiścią na robotnika fizycznego spogląda pracownik umysłowy, porównując swe pensje z zarobkami tamtego.

Dziś pracownik biurowy w swej masie parjasem jest, człowiekiem najgorzej, najmarniej uposażonym, najwięcej upośledzonym, zepchniętym na najniższy szczebel drabiny społecznej.

Takie położenie charakteryzuje świat urzędniczy wogóle, zarówno prywatny, jak municypalny i państwowy w stosunku do proletarjatu.

Ale pracownik prywatny — handlowy, przemysłowy, bankowy, transportowy — w porównaniu ze swym kolegą państwowym stoi już znacznie wyżej i ta różnica będzie coraz głębszą, coraz większą.

Oczywiście nie dlatego, żeby kapitał prywatny czulsze miał serce, wrażliwsze sumienie, „lepszą wolę" od kapitału państwowego, lub żeby dyrekcja przedsiębiorstwa prywatnego hojniejszą była od rady ministrów, normującej warunki pracy i płacy pracowników ministerstw i urzędów państwowych.

Z natury rzeczy powinno wszak być inaczej — kapitalista prywatny, zdawałoby się, jest drapieżniejszy, chciwszy i bezwzględniejszy od „szafarzy grosza publicznego".

I tak jest, ale są też inne względy, które przeważają szale na niekorzyść urzędnika państwowego, względy jasne i zrozumiałe.

Przedewszystkiem dobrze rozumiany interes własny kapitalisty i fabrykanta prywatnego: idzie mu o pracownika fachowego, zdolnego, sumiennego, a takim może być tylko chociaż jako tako opłacany, w każdym razie więcej, niż na urzędach państwowych, skąd, jak wiadomo, biura i zakłady prywatne czerpią i wycofują co lepsze siły, energiczniejsze, zdolniejsze i rzutniejsze, a proces ten, w miarę rozwoju gospodarczego, będzie się jeno potęgował i rozszerzał.

Wzgląd ten, decydujący dla dbałego o zyski zarządu przedsiębiorstwa prywatnego, nie istnieje dla rady ministrów, żyjącej chwilą i w istocie, w rzeczywistości, naprawdę, w swej krótkowzroczności nie dbającej o dobro „państwa", pomimo najpatetyczniejszych i najuroczystszych zaklęć, — przynajmniej w takim stopniu, jak kapitalista dba o dobro swego interesu.

Istnieje oprócz tego drugi, równie ważny czynnik lepszej sytuacji pracowników prywatnych w porównaniu z państwowymi.

Polega on na większem uświadomieniu, lepszej orjentacji w mechanice zdobywania sobie korzystniejszych warunków pracy i płacy.

Życie i doświadczenie robi swoje, jest to agitator najwymowniejszy, najwytrwalszy i najwierniejszy, którego schwytać i do więzienia zamknąć niesposób, pomimo najsprytniejszych wybiegów i zabiegów ochrany, przepraszam, defenzywy.

Pod wpływem tego agitatora uświadomienie a z niem i organizacja coraz sprężystsza tego odłamu proletarjatu, jakim jest pracownik prywatny, postępuje wyraźnie, choć powoli, powoli, gdyż wiele przeszkód zewnętrznych i nadewszystko wewnętrznych ma do zwalczania.

Jeżeli wiele pracy trzeba kłaść, aby zdzierać, zdrapywać, wykorzeniać z robotnika tę sieć frazesów, w które mózg jego i wolę oplątać usiłują różni „demokratyczni" poczciwcy, — to cóż mówić o tych moczarach i bajorach, w których grzęźnie po uszy nasz tromtadrata biurowy?!

A jednak! Nie tylko takie nie do pomyślenia fakty przed kilku jeszcze laty, jak uporczywe strajki w Tow. Kredytowym m. Warszawy, bankowców, kolejek podjazdowych, farmaceutów, ale cały szereg innych objawów z życia tak zachwaszczonego pracowników prywatnych wskazują, że światek ten ocknął się wreszcie i szuka ratunku na drodze, po której kroczy zwycięsko proletarjat miast i wsi.

Z tem się liczą, liczyć muszą eksploatatorzy prywatni, choć na razie zwycięzcami są.

Wszystko wskazuje, że z urzędnikiem państwowym rada ministrów, jej prezydjum i poszczególni ministrowie nie tylko się nie liczą, ale traktują go z lekceważeniem, „per nogam", co najwyżej, jak swawolnych żaków.

Na jakie psy dziadowskie zjechał stan urzędniczy w Polsce niepodległej, o tem rozwodzić się długo nie potrzeba i nędza w dosłownem, upiornem słowa tego znaczeniu żre urzędników-głodomorków, oberwańców, żyjących przeważnie „kątem", marzących, jak o niedościgłym ideale, o zarobkach niewykwalifikowanego wyrobnika.

Czy i jak może funkcjonować aparat państwowy przez taki materjał ludzki obsługiwany, materjał nerwowo i fizycznie wyczerpany, grzęznący w długach, rozgoryczony i lekceważony, o tem również rozpisywać się jest rzeczą zbędną.

Wszelkie próby racjonalnego wybrnięcia z tego rozpaczliwego położenia, wstyd i hańbę przynoszącego państwu, w zarodku były tłumione — droga organizacji związku zawodowego zamknięta przez radę ministrów, serwilizm, donosicielstwo, lizusostwo, obniżanie godności aż do jej zaniku, miast być tępione i trzebione, jak jadowite zielska, zostało przez wielu naczelników ministerjalnych podniesione do metody, do zasady, stało się ideą kierowniczą!

Nie można zapominać również, że jeśli wszelki rząd w ustroju kapitalistycznym przedewszystkiem służy interesom klasy posiadającej i te interesy musi mieć nadewszystko na oku, to i u nas to niesłychane i zdumiewające z kreciową armią pracowników państwowych postępowanie ma swoje głębsze podłoże, wzmocnione nadto przez to, że nasi ministrowie są przeważnie kapitalistami i obszarnikami lub ich mężami zaufania. Idzie więc o to, aby rzesze pracowników państwowych móc w każdej chwili przeciwstawić ich kolegom, pracownikom prywatnym, aby w razie domagania się niewolników kapitału prywatnego poprawy bytu, w razie konfliktów i strajków, ich szefowie mogli im rzucić pogróżkę: „urzędnik państwowy ma znacznie gorzej, a siedzi cicho! na kiwnięcie, na gwizdnięcie oni was zastąpią!"

Idzie więc o to, aby świat urzędników pań-

stwowych był rezerwuarem łamistrejków, wieczną i skuteczną pogróżką dla walczących ich kolegów z biur, kantorów i zakładów prywatnych, wiecznym hamulcem w ich ruchu wyzwoleńczym i walce!

Więc się tylko od czasu do czasu rzuca, jak z łaski, nic nieznaczące w stosunku do istotnych potrzeb, ustępstwa, więc na memorjały, na petycje, na błagalne wprost zwracania się zarządu stowarzyszenia bądź wcale nie odpowiada, bądź zbywa byle czem, delegacji nawet się nie przyjmuje, lekceważy, bagatelizuje, ignoruje, podrwiwując z dąsów panów urzędników, ironicznie wystawiając ich cierpliwość na próbę, wiedząc z góry, że dzięki całemu splotowi warunków, jest ona niewyczerpaną.

Na poparcie powyższego, opowiemy najświeższe dzieje w najbliższym numerze ostatnich skromnych prób i próśb urzędników państwowych w dążeniu do polepszenia swej niedoli.



ECHA ŻYCIA.

— Przeciw Komisji Centralnej Z. Z.

Niezadowolenie z działalności obecnego kierownictwa centralnej ogólno-krajowej organizacji klasowych Zw. Zaw. zatacza coraz szersze kręgi.

Na niedawno odbytym w Jeziornie zjeździe robotniczym przemysłu papierniczego zapadła następująca rezolucja:

„II Ogólno-Krajowy Zjazd Zw. Zaw. Robotn. Przem. Papierniczego, biorąc pod uwagę Okólnik C. K. Z. Z. z kwietnia 1921 r. w sprawie Związków Zawodowych stwierdza, że C. K. Z. Z. nie ma prawa żądać od wszystkich członków Związków chodzenia na pasku żółtej Międzynarodówki i P. P. S.

C. K. Z. Z., przyjmując uchwały o ewentualnym usuwaniu członków związku, będących innych zapatrywań oraz zawieszaniu całych związków, postąpiła, jak wszyscy rozbijacze klasowego ruchu zawodowego.

Wobec czego Zjazd protestuje przeciwko podobnym uchwałom; żąda od C. K. Z. Z. zwołania II Krajowego Kongresu Związków Zawodowych w jak najkrótszym terminie".

Walne zebranie pracownikow kolei Grójeckiej i Wilanowskiej, członków Z. Z. K. w dn. 5 czerwca r. b. uchwaliło rezolucję następującą: „Walne zebranie

1) Piętnuje stanowisko Komisji Centralnej i Zarządu Głównego Z. Z. K. jako jeszcze jeden przejaw zdradzieckiej polityki P. P. S., zmierzającej do rozbicia związków zawodowych w Polsce.

2) Zebrani wyrażają votum nieufności zarówno Komisji Centralnej jak i większości pepesowskiej w Zarządzie Głównym Z. Z. K.

3) Zebrani kolejarze postanawiają z całą stanowczością bronić jedności organizacyjnej Z. Z. K. przeciw zdradzieckim rozbijaczom pepesowskim i nie dopuszczą do tego, aby P. P. S.-owcy dokonali haniebnego dzieła rozbicia Z. Z. K."

— Dolary, Żydki, Fotografja.

Okręgowy Robotniczy Komitet w Poznaniu takie wypalił P. P. S. oto słowa prawdy:

„Cała Wasza siła polega na czem? 1-o) Na Waszych nazwiskach, które dłuższy czas po Waszej śmierci socjalistycznej, siłą tradycji jeszcze teraz na nielicznych może robią wrażenie. 2-o) Na stawianiu wszystkich przeciwników poza nawias legalności, przylepiając im etykietę „Komunista", pozbawiając ich w ten sposób możności jawnej walki o swoje przekonania. 3-o) Dolary. A zkąd się biorą dolary, o tem może coś niecoś nam opowiedzieć „lewica" Z. S. P. w Ameryce.

Konsekwentne stanowisko socjalistyczne absolutnie wyklucza możność tolerowania Was, Panowie, w łonie partji socjalistycznej. Wyście zabrnęli tak bardzo na prawo, że nie może być mowy o tem, aby módz dopatrzyć się u Was bodaj śladów socjalizmu. Takich kierowników partji my nie potrzebujemy. Taka N. P. R. niejednokrotnie jest więcej socjalistyczną, aniżeli Wy. Wprowadzacie masę robotniczą w błąd za pomocą operowania temi wzniosłemi i świętemi hasłami rewolucyjnemi, w których widzi ona swój cel i swoje wyzwolenie, a które są jej istotną i organiczną wolą.

A czyny Wasze? Z jednej strony głośne słowa, z drugiej konszachty z Belwederem, z rządami burżuazyjnemi. Chcieliście nam zatkać usta. Idea i myśl rewolucyjna zawsze jest żywa i jedynie twórcza. Wasz upadek jest juz przesądzony. Jak tonący chwyta się deski, tak Wy chwytacie się wszelkich sposobów, bodaj najnikczemniejszych, by uratować swoją sytuację. Prowokacje, oszczerstwa i denuncjacje — oto wszystko, na co możecie się zdobyć. Jest to stanowczo za mało, by móc pozyskać opinję ludu pracującego".

A cóż na to P. P. S.?

W swoim dolarowym organie zwala zbrodnię mordu górników w Zagłębiu Dąbrowskim na — słuchajcie i radujcie się Kruszewani, Lutosławscy, Niemojewscy! — na „komunistów, przeważnie żydków, może nawet nasłanych przez policję i kapitalistów — prowokatorów"!!!

Czy to już kres hańby i szczyt skały Tarpejskiej, skąd strącano zdrajców?!

Ach, nie, nie, nie!

Jest niem dopiero rozdawanie fotografji z tegorocznego obchodu majowego, pierwszego krwawego obchodu w niepodległej Polsce.

— Cyrograf lokautowy.

Do czasu zorganizowania się introligatorów w sekcję i przystąpienia do klasowego związku zawodowego drukarzy należeli oni do najbardziej wyzyskiwanych z pośród proletarjatu warszawskiego. Gdy wystąpili jako zorganizowana siła, mająca nadto oparcie o silny scentralizowany związek, zarobki ich się podniosły prawie do wysokośei zarobków drukarzy.

Spędzało to sen z powiek ich wyzyskiwaczy, oburzonych na takie wyemancypowanie się potulnych dotąd, zahukanych chadecko- cechowych owieczek, i postanowili ich — wypędzić ze związku, rozbić organizację zapędzić z powrotem do cechu.

Największe 5 firm — Arenc, Laurysiewicz, Leśniewski, Marcinkiewicz, Miernicki — ogłosiły lokaut. Za nimi poszła chmara majsterków-chałupników, ciemna, ledwie często pisać umiejąca masa bogoojczyźniana która zmusza zlokautyzowanych pracowników do podpisania zobowiązania, że do związku nie należą, że, o ile należą, to zeń wystąpią, a gdyby się okazało, że, pomi-

mo podpisania cyrografu, z organizacją nie zerwali, straeą natychmiastowo i bez prawnego wypowiedzenia zajęcie.

Jak na ten terror antizwiązkowy i bezprawny zareagują pracownicy i ich organizacja— zobaczymy.

— Także wróg związku.

Na równym poziomie z ciemnymi łykami miejskimi w nienawiści do organizacji zawodowej stanął prof. uniw. Szymon Dzierzgowski, dyrektor zakładu higieny i bakterjologji.

Odprawił on pracownika zakładu p. Władysława Minca bez żadnej motywacji.

Związek woźnych państwowych w sposób zupełnie poprawny zapytał o przyczyny wydalenia.

Na listy związku uważał za stosowne luminarz nie odpowiadać, wreszcie ordynarnie i brutalnie nawymyślał związkowi.

Zarząd związku winien dać nauczkę „kulturalnemu" profesorowi.

— Stowarzyszenie b. więźniów politycznych.

Po długich staraniach zarejestrowane zostało przez min. spr. wewn. powyższe stowarzyszenie, mające na celu „niesienie pomocy materjalnej, moralnej i kulturalnej" swym członkom.

Należeć doń może każdy były więzień polityczny bez różnicy płci i wyznania, który uczestniczył w ruchu społeczno-rewolucyjnym i który się nie przeciwstawił w następstwie temu ruchowi.

Do omówienia szerszego nowej organizacji powrócimy, zaznaczając tymczasem że zarząd obecnie tworzą Stan. Kulik, Wacław Koral, J. Kuran, Ludwik Śledziński, Konstanty Grzegorczyk i Jan Wieczyński, który użyczył swego mieszkania dla stowarzyszenia przy ul. Daniłowiczowskiej № 4.

— Tułacza dola.

800 emigrantow, mających już wykupione karty okrętowe na statek „Józef Piłsudski" T-wa Polskiej Żeglugi Morskiej, nie uzyskali wizy amerykańskiej.

List do Redakcji

Szanowny Redaktorze!

Oddaję w Wasze ręce placówkę, na której trwałem przez 6 lat za gniotu siepaczy carskich.

Czyżbym dlatego schodził osobiście z tej placówki, że gniot swojej reakcji, że bat i razy, zadawane bratnią ręką są cięższe i boleśniejsze, niż od obcych językiem, obyczajami i rasą wrogich elementów. Nie. Oddaję w Wasze, Redaktorze, ręce „Życie Warszawskie" i społeczną pracę publicystyczną, bo brak mi sił do dalszej pracy, nadewszystko zaś brak wiary w celowość tej pracy wobec rozpasania złych instyktów w społeczeństwie i upadku obywatelskości.

Mogłem odczuwać bolączki nieszczęśliwych, jako redaktor dawnego „Życia Warszawskiego" mogłem starać się je leczyć, nie czuję się na siłach walczyć z obłąkaniem, lub zbrodnią, będącemi podłożem dzisiejszych warunków i podstaw bytu społecznego.

Oddając złamane moje pióro w Wasze, Redaktorze ręce, życzę powodzenia.

Witold Koszutski.

SOJUSZ OKUPANTÓW Z POLSKĄ KLASĄ POSIADAJĄCĄ

Przytaczamy poniżej, jako próbki, kilka notatek, przeznaczonych do „Naszej Trybuny", wychodzącej po zamkniętym przez carską ochranę „Życiu Warszawskiem", skreślonych jednak przez cenzurę niemiecką, równie gorliwie stojącą w obronie polskiej burżuazji, jak to robiła rosyjska.

„Municypalne więzienie"

Na pierwszej sesji „Trybunału" między obrońcą a prokuratorem nastąpiła oryginalna wymiana zdań z powodu jakiejś nieletniej nędzarki, przeciw której były poszlaki, że usiłowała popełnić kradzież. Poszlaki wystarczyły, aby sąd pokoju dziewczynę skazał na kilka miesięcy więzienia. Okropne warunki nędzy, bezradności, opuszczenia i ciemnoty, w jakich nieszęśliwa pędziła życie, które było dnem nędzy i rozpaczy, wstrząsały swą grozą. Obrońca uważał, że wobec tego więzienie jej nie poprawi, lecz dobije wstyd, znieprawi i nauczy zawodowego złodziejstwa, prosił przeto wysoki Trybunał o oddanie dziewczyny pod opiekę Towarzystwa nad ubogiemi dziewczętami, bo matka, uboga handlarka starrzyzną, opuszczona przez męża i ojca 14-ga dzieci, sama pomocy potrzebuje.

Na to z wspaniałego fotela podniósł się w całym prokuratorskim blasku i majestacie pan Stanisław Nowodworski i głosem pełnym entuzjazmu skarcił obrońcę, aby ten nie zapominał że nadeszły czasy, kiedy sąd poważnie musi się zastanowić, co lepsze — obecnie dla podsądnego: czy wolność z jej pokusami, czy zamknięcie „w municypalnym więzieniu"?! W więzieniu, gdzie troskliwa, wyrozumiała i obywatelska opieka milicji czyni w nim popyt wcale znośnym, przyjemnym, a w każdym razie chroni od różnych zachcianek i pokus.

No, i 16-letnia Grünówna powędrowała do municypalnego więzienia.

Jak się tam czuje i czego tam doznała, o tem się może dowiemy, kiedy z niego wyjdzie, jeżeli wyjdzie.

Od Moszka Schaffa tego się już nigdy nikt nie dowie. Wywieziono go w nocy do trupiarni ze zmiażdżoną głową. Milicja zapewnia, że to winda...

Dotąd tego nieszczęśliwego mam przed oczami, gdy w „Trybunale" prosił i błagał o zwrócenie mu wolności, której go pozbawiono za to, że ujął się za jakimś katowanym przez milicję chłopcem. Jakby przeczuwając swój los, apelował od wyroku sądu pokoju, który go skazał na 2 i pół miesiąca, do „Trybunału", apelował do sumienia i rozumu „obywatelskiego".

Szaff był woźnicą, a więc ubogim, ciężko pracującym na kawałek chleba człowiekiem, a sąd pokoju zażądał od niego kaucji 500 rubli, — słyszycie?! — pięćset rubli.

Takie pastwienie się i szykanowanie ubóstwa, to godne jakichść jurydycznych sadystów, — nie wiem, czy taką formę zwyrodnienia zna psychjatrja, w każdym razie zboczenie takie tu się objawiło, tem bardziej, że jak dowiódł w sądzie adw. prz. Zygmunt Kokoszko, prewencyjne więzienie Szaffa było niczem usprawiedliwionem *bezprawiem*. Daremnie stwierdzono, że Szaffa bili milicjanci, którzy w sprawie figurują jako „świadkowie", daremnie wobec tego Kokoszko prosił Trybunał o ich ekscepcję, jako takich, którzy osobiście są w sprawie zainteresowani, bo sami powinni zasiąść na ławie oskarżonych, daremnie przypominał sędziom - „obywatelom", że to zwyczaj despotyzmu, zabezpieczającego się w ten sposób od odpowiedzialności i chroniącego gwałcicieli prawa przed nią, daremnie ostrzegał, ile to szumowin, mętów i wyrzutków napełnia milicję, — daremnie!!! Szaff powędrował do „municypalnego więzienia", aby z niego nie wyjść, aby zginąć w kwiecie wieku, aby mu „winda" w nim zdruzgotała głowę!

Sprawą w każdym razie winna zająć się prokuratura, tylko, — na boga! — nie p. Nowodworski...

Z ponurą tą i zagadkową sprawą łączy się ubocznie moja o—sprawozdania sądowe. W dwóch pismach je zamieściłem ze wszelkiemi ostrożnościami, niedomówieniami, bez żadnych wniosków, ale i to, jak wszelką krytykę, zdanie niezależne, myśl niepodległą, uczucie niewykoszlawione, chciano zdławić w zarodku za pomocą, jak zawsze, zakulisowych potajemnych oddziaływań w redakcjach, w czem najwyżsi „dygnitarze" nie wstydzili się brać udziału, mnie zaś osobiście zaczepiano, interpelowano, przekonywano potrzebą stosowania „polityki karnej". Dosłownie: „polityki karnej".

A tymczasem, gdyby tak nie rwali się do „sądzenia" bliźnich, do urządzania w czasach najstraszniejszej z wojen maskarady sądowej, lecz pamiętali choćby o swej własnej nauce, jurysprudencji, to by stosowali nie „politykę karną", lecz *jurystycjum*, to znaczy zawieszenie sądzenia spraw podczas wojny, a w każdym razie nie szafowaliby tak hojnie więzieniem, karami i eksmisjami. Byliby istotnie obywatelami, no, i Szaff nie miałby zdruzgotanej głowy... w municypalnem więzieniu.

Do ut des.

Trzy te wyrazy łacińskie znaczą: daję abyś dał, posiadają b. głęboki sens, stanowią oś spraw publicznych i społecznych, są kluczem do zrozumienia wielu objawów. Nic darmo. Wszystko za opłatą. Idzie tylko o formę i sposób. Kiedy do pałacu arcybiskupa wchodziła jednemi drzwiami delegacja C. K. O. z worami złota, do drugich drzwi pukała jednocześnie druga delegacja, ach! nic wspólnego z tamtą nie mająca. To tylko traf tak rządził, ślepy przypadek. Tej drugiej, delegacji, na czele której stali pp. Andrzej Wierzbicki i Piotr Drzewiecki, szło o poparcie arcypasterskie w urzeczywistnieniu jeżeli nie „marzeń ojców", to od dłuższego czasu piastowanych nadziei, dobro kraju i narodu mających jedynie na celu — to się samo przez się rozumie.

A do tego potrzebny jest przedewszystkiem... „normalny dzień pracy". To znaczy, aby usunąć wszystkie święta, które tak rozleniwiają lud, a jeżeli nie wszystkie, to znaczną ich część. Nawet nie usunąć, tylko „przenieść" na niedzielę. Kiedy arcypasterz zrobił kwaśną minę, zaimponowano mu całym traktatem społeczno-polityczno-przyrodniczo-religijno-filozoficznym, a następnie wręczono mu w lisią skórę oprawną encyklikę Piusa X „Motu proprio" (znaczy: „z własnego popędu", a nie na życzenie burżuazji i obszarników). Sprawa załatwiona.

Zaznaczyć trzeba, że ks. Godlewski, który ją gorąco w imieniu swej owczarni popierał, podkreślił umiarkowane żądania, bo wszak burżuazja francuska przy dojściu do władzy w 1789 r. usunąć chciała niedziele, a zrobić t. zw. dekady, tydzień dziesięciodniowy, a dzień pracy „unormować" na 18 godzin. Tu jednak z przygnębiającym westchnieniem przerwał mu p. Wierzbicki, oczy wznosząc na wielki z kości słoniowej krucyfiks; „no, może i my tu kiedyś będziemy gospodarzami bez zastrzeżeń, panami bez żadnej kontroli i wędzidła"... Na taką perspektywę nawet na młodym wikarym, sekretarzu Kakowskiego, skóra ścierpła.

Głód, orzełek i poezja

Zdzisław ks. Lubomirski jest nietylko demokratą (tytułu zwykle nie używa, z wyjątkiem kolektywnych depesz), jest nietylko mężem czynu i kolosalnej pracy w różnych kierunkach (jednocześnie potrafił zasiadać w trzech „Komitetach"), ale, co przyjemną sprawia niespodziankę, zdradza duży talent poetycki.

Przynjmniej redakcja nasza bez wzruszenia nie mogła odczytać niedzielnej Księcia Pana odezwy na orzełkową kwestę. Czuć było, że ją natchnione pióro wydało. Niby proza, a to poezja, niby o głodzie mowa, a to gra harfa eolska. Tego się się nie czyta, tem się człowiek kropla po kropli delektuje, jak najprzedniejszą zieloną chartreuse'ą.

Choćby ten oto ustęp: „bijemy w trwogi dzwon, na progu domu naszego stanął głód w całej swej grozie, w całej swej okropnej nagości"...

Albo ten: „pragniemy odbudować kraj nasz, czy jednak nie ujrzymy rychło, że nowe podwaliny zakładamy na cmentarzysku ludu".

Ile razy słyszę, że ktoś upadł, z głodu, zaraz na pokrzepienie czytam tę odezwę. Bo, oprócz poezji, tryska z niej, jak kastalskie źródła, obywatelska troska o lud, szczera, gorąca, demokratyczna troska.

Ponieważ jednak liczba tych padających z głodu nie maleje, przeciwnie, zdarza się, że tuzinami ich samo Pogotowie — nie ratuje, lecz notuje w ciągu doby jednej, — wnosić należy, że gdyby nawet rozmiary orzełka zwiększyć do wielkości orła, to drogą karotowania da się z ludności wycieńczonej, ogłodzonej i zubożałej wyłudzić już niewiele, — w stosunku do ogromu potrzeb, w każdym razie będzie to coś nikłego.

Natomiast przy takiej dobrej woli, tkliwości i patrjotyzmie, jaki ożywia Księcia, łatwo mu będzie wyjednać u władz pozwolenie na opodatkowanie ludności od majątku, a nim pozwolenie Książę wyjedna, niewątpliwie wszyscy członkowie „Komitetu" dobrowolnie i chętnie to uczynią: np. p. Stefan Dziewulski 10% od posagu da rbl. 500.000; p. Józef Natanson 10% od wartości fabryk, ziemi i domu bankowego —

miljon rubli; p. Henryk Konic 10% od pensji z Banku Handlowego — 5.000 rubli; p. Piotr Drzewiecki 10% od wartości domu, fabryki, robót w jednym zresztą Porcie Artura — 25.000 rubli, p. Kazimierz Życki no i t. d. i t. d.

Pomysł prosty i tylko dlatego oczywiście dotąd myśleli nie o jego wykonaniu, lecz o orzełkach, że one dużo uroku i wdzięku w sobie mają. Prawda?



BOHATEROWIE.

PAN PUŁKOWNIK.

Znakomity pisarz francuski Mirbo po mistrzowsku zohydzał ohydę współczesnej nam „cywilizacji", bezlitośnie ukazując całą jej nędzę, blagę i obłudę. W ciągu ostatniej światowej rzezi kazano czcić i hołd oddawać wielu „bohaterom". Warto przypomnieć sobie, co o nich sądził przenikliwy i głęboki satyryk.

Rzecz się dzieje w kasynie w modnej letniej miejscowości, gdzie autor poznał pana pułkownika i pana generała.

W tym numerze podajemy sylwetkę pierwszego, pana pułkownika.

Dziś rano był u mnie kierownik zakładu Fistule. Wśród wielu innych historji, opowiedział, że pułkownik baron Présalé spędza tu dnie i noce przy zielonym stoliku. Administracja kasyna nietylko pozwala dzielnemu wojakowi zabawiać się grą w bakara, lecz nawet daje mu za każdym razem wygrać dwadzieścia franków, które następnie zwraca bankierom.

— Cóż robią? wytłomaczył mi Fistule Szacunek dla armji przedewszystkiem. Bo to nie dla reklamy; zaliczamy to do wydatków zwyczajnych.

Wczoraj, kiedy zobaczył, że wygrał, dzielny pułkownik śmiało położył na stole stufrankowy banknot i kiedy przyszła na niego kolej wypłaty:

— Całe sto franków... wesoło oświadczył.

Krupjer zawahał się, nie wiedząc, co począć...

— Ależ pułkowniku?... wyjąkał.

— Co takiego?... co takiego?... Nie rozumiesz pan, do krocset, co znaczy sto franków.

Wówczas zarządzający salą gry, który znajdował się tuż za bohaterskim wojakiem, przechylił się ku niemu, poklepał go dyskretnie po ramieniu i cicho powiedział:

— Uwaga, pułkowniku... zaczynamy przesadzać...

— Tak pan sądzi?... odparł pułkownik... Do krocset!..

I zwracając się do krupjera:

— Tylko dwadzieścia franków... błaźnie!...

Jak widzicie, miły typ żołnierza.

Niegdyś, podczas największego napięcia sprawy Dreyfusa, pułkownik składał mi częste wizyty. Wchodził, kaszląc, plując i klnąc. Rozmowy nasze były w następującym rodzaju:

— I cóż pułkowniku?

— I cóż!... Powoli przychodzę do siebie, ale przeżyłem ciężkie chwile.. A, sto tysięcy djabłów!

— Pański patrjotyzm...

— Nie chodzi o mój patrjotyzm... chodzi o moją rangę...

— To wychodzi na jedno...

— Racja, to wychodzi na jedno...

— I cóż?

— I cóż... przez parę tygodni myślałem, że te gagatki odbiorą mi rangę... Słowo honoru!...

— A teraz wszystko w porządku? Nie obawia się pan?

Nie obawia... nie obawia! Zaczynam wolniej oddychać i na tem koniec... To coś strasznego... coś strasznego, sto tysięcy djabłów!...

Tu pułkownik zamyślał się i wzrok jego pod krzaczastemi, ruchliwemi brwiami zdawał się przenikać przyszłość... Pytałem go:

— I cóż, będziesz pan nadal wydawał rozkazy dzienne, w których będziesz nazywał cywilusów wstrętnemi świniami... masz zamiar nadal grozić, że przejedziesz twą waleczną szpadą po brzuchach kosmopolitów?

— At!... także pytanie!... Wpierw muszę zobaczyć, czy ich cholera weźmie... Jeżeli ich weźmie, to znaczy, jeżeli rząd klapnie... ha! ha! to dopiero rzucę w mordę tym kosmopolitym rozkazy dzienne...

— A jeżeli go cholera nie weźmie?

— Co pan przez to rozumiesz?

— Jeżeli rząd wzmocni się i przedsięweźmie surowe środki przeciw prowokacjom współczesnych pretorjanów?

— Wówczas co innego... Ani pisnę, drogi chłopcze... Albo też będę im opowiadał o moim szacunku dla tego parszywego prawa, o mojem posłuszeństwie względem tej bydlęcej Republiki... Jestem przecież żołnierzem?... A więc do szeregu, lewem ramieniem naprzód!...

Melancholijnie dodawał:

— Tak, rzemiosło wojaka nie jest łatwem. Nieraz się człowiek dławi własną szablą... Ale cóż... nie może być inaczej... Patrjotyzm...

— Ranga pułkownika...

— To wychodzi na jedno...

— Bardzo słusznie...

Dzielny pułkownik chodził po pokoju, żując cygaro, którem zrzadka zaciągał się. Po każdem zaciągnięciu powtarzał:

— Francja przepadła, do krocset... Francja dostała się w szpony kosmopolitów.

— Masz pan ciągle na ustach słowo „kosmopolici"... Czy nie byłoby niedyskrecją spytać pana, co przez nie rozumiesz?...

— Kosmopolici?

— Tak jest, pułkowniku.

Czy ja wiem?... Wstrętne bydło, przeklęte podłe świnie, zdrajcy bez ojczyzny.

— No tak... a po za tem?

— Sprzedawczycy... framasoni... cywilusy!

— Mów pan ściślej.

— Hołota, do krocset!

I pułkownik zapalał cygaro, które zgasło pod tą wściekłą nawałnicą filologicznych wyjaśnień. Poczem:

— Ale co znowu opowiadają?... Podobno Gallifet ma znieść uniform w armji?... Słyszał pan o tem?

— Nic o tem nie wiem!...

— Powiadają, że zacznie od spodni, które nie będą miały obowiązkowej formy podczas przeglądu wojsk 14-go lipca? Białe spodnie, niebieskie, w kratki, aksamitne lub cyklistowskie... *ad libitum*. A dla dowódców obowiązkowym ma być cylinder. Ani białych piórek, ani pióropuszów!... A to dopiero... Lepiej już odrazu znieść

armję... Bo co to jest armja?... Pióropusz, do krocset!... I jak będzie można odróżnić wojskowego od cywilusa?

— Jest wiele innych rzeczy, po których poznaje się wojskowego.

— I co jeszcze czytałem w pismach?... Podobno Dreyfus wrócił do Francji!...

— Wiadoma rzecz pułkowniku.

— A to dopiero... To skandal... No, no!...

— Ależ skoro jest niewinny?

— Niewinny?... Żyd... podły żydlak? To mi się podoba!... A gdyby nawet tak było?... Nam licho do tego?... Niewinny!... I co z tego?... To nie żadna racja...

— Ależ pułkowniku!

— Niema „ależ"... Dreyfus został skazany? Tak. Przez sąd wojenny? Tak. Jest żydem? Tak... Więc niech go djabli porwą... gdyby Rząd składał się z prawdziwych patrjotów, a nie z kosmopolitów, prędko odesłanoby go na jego wyspę, łajdaka!... Raz, dwa... raz, dwa!... Marsz!... Niewinny!... Przedewszystkiem łotr, który pozwala sobie być niewinnym bez formalnego rozkazu swych zwierzchników, jest łajdakiem, rozumiesz pan... wstrętnym łotrem... złym żołnierzem... I jaką ma minę ten niecny zdrajca?

— Z początku mówiono, że jest bardzo zmieniony i bardzo przybity...

— Komedja! Albo niewinny człowiek może być przybitym? Czy ja jestem przybity? Też gadanie!... Kiedy jest się pewnym swej niewinności, krzyczy się o tem, wrzeszczy, do krocset! Nie ma się żadnych obaw, u licha! Zadziera się głowę wysoko... jak przystało na żołnierza.

— Tak się też rzecz ma z Dreyfusem, gdyż pierwsze informacje były mylne. W rzeczywistości jest pewien siebie, gotów do walki...

— A więc hardy?... nieokiełznany?... No tak, tak!... To właśnie mówiłem... Kiedy się jest niewinnym nie jest się hardym, nie zadziera się nosa do nieba... Czeka się smutnie, ze spuszczoną głową, z zamkniętą gębą, — jak przystało na żołnierza... A zresztą nie o to idzie. Niema co wracać do wyroku, albo Francję djabli wzięli z kretesem... Oto, co mi się ostatno zdarzyło... Moi znajomi, właściciele koni wyścigowych, urządzili niedawno *match*... na dość poważną sumę, do krocset! Obrali mnie na sędziego z powodu mojej ogólnie znanej uczciwości... Jedziemy do Maisons-Laffite... Konie biegną... Co się stało? nie wiem... Widać pokiełbasiło mi się w głowie... Dość, że uznałem za pierwszego konia, kiedy doszedł do mety ostatnim... Moi znajomi skarżyli się, krzyczeli, jak wszyscy djabli...

— I cóż, pułkowniku?

— I cóż, mój chłopcze, posłałem ich, gdzie pieprz rośnie, mówiąc: „Omyliłem się, to prawda... przegapiłem, zgadzam się na to... ale idźcie do licha! Gdybym był cywilusem, przeklętym kosmopolitą, unieważniłbym bieg albo przyznał nagrodę koniowi, który rzeczywiście wygrał. Ale jestem żołnierzem i sądzę, jak żołnierz... Dyscyplina i nieomylność... Utrzymuję mój poprzedni wyrok... Do szeregu! I wrócili do szeregu.

— Jednakże, pułkowniku... Sprawiedliwość...

Dzielny pułkownik wzruszył ramionami, poczem, skrzyżowawszy ręce na piersiach ozdobionych orderami, rzekł:

— Sprawiedliwość?... Przyjrzyj mi się pan... Czy wyglądam na jakiegoś głupiego cywilusa? Do krocset!... Chyba jestem żołnierzem.

Ah! pułkowniku, — odparłem — boję się, że jest pan nim w wyższym stopniu, niż na to pozwala pańska ranga.

— Wszystko jedno...—krzyczał dzielny wojak, chodząc olbrzymiemi krokami po pokoju bijąc meble, kopiąc krzesła i wrzeszcząc na całe gardło:

— Śmierć żydom!... śmierć żydom!...

Dziś wieczorem pułkownik baron de Présalé przewodniczył bankietowi wydanemu przez kurujących się tu oficerów kolonjalnej armji oraz patrjotów na cześć generała Archinarda, „naszego sławnego gościa", jak pisze o nim miejscowa *Gazeta cudzoziemców*. Bankiet odbył się w restauracyjnej sali kasyna. Był świetny; wzniesiono olbrzymią ilość płomiennych toastów. Pułkownik był, jak zwykle, wymowny, lecz zwięzły.

— Niech żyje Francja, do krocset!—krzyknął, wznosząc kielich. — Jeżeli za jednym zamachem nie zawojowaliśmy Egiptu, nie wypędzili Anglików z Faszody a Niemców z Alzacji i Lotaryngji — to z pewnością nie z winy biesiadników.

(d. c. n.)

Wszyscy wiedzą, jak powstaje armata. Bierze się dziurę i oblewa bronzem. W podobny sposób przystępuje się do fabrykacji systemu filozoficznego. Bierze się próżnię i oblewa się ją logiką.

Jeżeli dodać trochę wiary i dużo głupoty, otrzymuje się religję.

(Soffici).

Przegląd prasy.

W rubryce tej uwzględniać będziemy możliwie obszernie przegląd prasy wszystkich kierunków i tendencji.

Rozwój obecny piśmiennictwa w porównaniu z niedawnemi czasy, jest znaczny, tak że niesposób nawet dla najżywiej interesujących się ruchem czytać nawet najwybitniejsze dzienniki, tygodniki i miesięczniki.

A tymczasem odzwierciadlają one takie prądy polityczne, społeczne i ekonomiczne, których znajomość dla każdego inteligentnego człowieka jest niezbędną, jeżeli chce się jako tako orjentować w życiu społecznem.

Również baczną uwagę zwrócimy na prasę zawodową przedtem u nas prawie nie istniejącą, a dziś stanowi ona poważny już czynnik w życiu robotników i pracowników.

Redaktor - Wydawca CZESŁAW HULANICKI (13 A Pańska, telef. Nr. 168-34). Osobiście porozumieć się można we wtorki, czwartki i piątki od godz. 5 do 8 w. w mieszkaniu przy ul. Marszałkowskiej № 123 m. 15.

Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich, Sp. z ogr. odp., Warszawa, Nowolipie 11. — Tel. 242-40.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KUL